

Co się okazało w Praniu?

Jak wiadomo, cykl Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego zatytułowany formalnie *Pieśni* w znanej dotychczas wersji obejmuje 10 numerowanych utworów lub części, a powszechnie został uznany za poetycki testament autora. Jednak ostatnie prace wykopaliskowe przeprowadzone w okolicy leśniczówki Pranie zwieńczone zostały doniosłym odkryciem dokonany w dawnej partyzanckiej ziemiance. Odkrycie to podważa zarówno przeświadczenie historyków literatury o kompletności cyklu, jak i obiegową wykładnię o jego konfesyjnym wydźwięku. A przy okazji ujawnia głębszy sens przysłowia: „Okaze się w Praniu”.

Oto odnaleziono bowiem cztery kartki rękopisu spięte porzewiałym klasycznym spinaczem wykonanym ze zwiniętego stalowego drutu. Zawierają one pieśni XI i XII. Są lekko podniszczone deszczem, który tu i ówdzie rozpuścił zielony atrament, jednak nie na tyle, by udaremnić odczytanie manuskryptu. Został on poddany natychmiast konserwacji i przekazany do Muzeum Literatury, a następnie przeze mnie pieczołowicie odcyfrowany, bym niniejszym ujawnił go badaczom spuścizny Mistrza Ildefonsa. Natomiast spinacz, który się okazał głównym bohaterem nieznanej pieśni XI, decyzją Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego na zawsze ma pozostać w Praniu, by podnieść rangę tamtejszej kolekcji pamiątek i będzie udostępniony zwiedzającym prawdopodobnie już od najbliższego sezonu turystycznego.

Lektura odnalezionych fragmentów dowodzi, iż bez nich trudno uznać *Pieśni* za jakąkolwiek rekapitulację barwnego i owianego legendą, ale w istocie tragicznego życia artysty, a tym bardziej nie sposób ich w takim niepełnym zestawie przyjąć za wiarygodny i szczery testament. Lista wyluczonych w puentach poszczególnych 10 pieśni wrażeń, zdarzeń i rzeczy jako wartych tego, by „ocalić od zapomnienia”, zdumiewa bowiem wybiórczością, toteż wydaje się efektem daleko posuniętej autocenzury. Przypomnijmy, co obejmuje: „oczu twoich chmurność”, „ręce”, „serce”, „blask lampy”, „chwile” (spędzone na słuchaniu muzyki), „śnieg na włosach”, „blask Venus na szybie”, „trzy łby wronie”, „chmury na czole” oraz „mój ślad na drogach”. A więc same ulotne detale przyrodnicze, ogólniki i sentymenty, w dodatku zatopione w abstrakcyjnym „trudzie”. Zestawiając ten wykaz z biografią poety, łatwo zauważyć, czego w inwentarzu brakuje. Gdzie się podziata groteska? Gdzie jady satyry? Wreszcie pytanie najważniejsze: gdzie rozterki artystycznych i politycznych wyborów, skoro w *Pieśniach* znalazło się tyle socrealistycznych komnatów, głoszonych z całkowitą powagą i bez żadnych zahamowań, cudzysłowów, prześmiewczej przesady czy choćby przymrużenia oka?

Łatwo odgadnąć przyczynę rezygnacji autora z dwóch końcowych pieśni ukrytych przed potomnymi, które jednak przetrwały nie tylko stalinizm, lecz także wszystkie okresy PRL, a nawet niepotrzebnie jeszcze przez pierwsze dwudziestolecie III RP. Pobrzmiewa w nich bowiem nazbyt głośna nuta autoironii, gorycz niespełnienia i wyrzuty sumienia z powodu chwiejnej postawy artysty, który próbował pogodzić rolę liryka, błązna i kolaranta, a manewrując z różnym skutkiem pomiędzy tym, co cesarskie, a tym, co boskie, doprowadzał czytelnika na przemian do zachwyty i bladej rozpacz z powodu talentu marnowanego na usługach urzędowej ideologii. Wyznanie tych grzechów i gorzkiego za nie żalu nie mogło liczyć na pobłażliwość władzy i cenzury. Oznaczałoby całkowitą demaskację w miejsce dotychczasowej podejrzliwości. W odnalezionych końcowych ogniach cyklu ujawniony został bowiem niemal wprost fałsz wcześniejszych deklaracji politycznych przybieranych w plakatowy frazes albo oryginalne fajerwerki metafor, a zanurzonych w potoku sentymentalnych wspomnień i fascynacji codziennością. Dwie ostatnie pieśni w stosunku do wielu wcześniejszych utworów można więc uznać za swego rodzaju palinodię antysocrealistyczną.

U wielbicieli twórczości autora *Zielonej Gęsi* i *Zaczarowanej drożki* odkrycie to wywoła zapewne ulgę, gdyż po z górą półwieczu usunięta została jedna z przeszkód do bezgranicznej aprobaty i recepcji bez zastrzeżeń. Wprawdzie znalezisko raczej nie stanie się powodem do pełnej rehabilitacji poety, a jedynie przyczynkiem do drobnej korekty jego biografii, ale pośród odbiorców ciągle nieufnych posłużyć może za poważny argument, by nieco większą część dorobku poety ocalić od zapomnienia.

7 czerwca 2009 rok

Pieśni

XI

Ile spadłych na me biurko
złotych myśli, srebrnych włosów?
A po wierszu o ogórku
Samokrytyk i donosów?

Ile atramentu z pióra
w bruk spłynęło tanią zdradą?
Westchnień, gdy makulatura
tłumi w szelest grom napadów?

Ile pochwał i kuksańców?
Ile sławy i pogardy
od wierzących i zaprzańców,
towarzyszy z awangardy?

Ile wypalonych petów?
Ile wyniesionych śmieci?
Ile zesłań dla poetów,
bo: Warszawa, Kraków, Szczecin...

Mogłem w leśniczówce Pranie
i w Aninie żyć inaczej.
Ile podań o mieszkanie,
krętych ścieżek i spinaczy?

Com odrzucił, niech wybacza
Muza w czarnoleskich cieniach...
Chciałbym choćby ślad spinacza
ocalić od zapomnienia.

XII

Ile czynów, myśli, słówek?
Ile wiosen, ile wieców?
Borów, barów, bożych krówek?
Skrzypiec, martenowskich pieców?

Ile trudu, gdy księżycem
Sierp, a młotem – Nowa Era?
Ujrzeć w pszczole przodownicę
Albo zmienić w dźwig kandelabr?

Ile w nocie nieprzespane
między świeczką a ogarkiem
dreszczów kaca, by nad ranem
zakląć Bacha w betoniarkę?

Dziwna myśl mnie dziś dobiega
po decyzjach nadzwyczajnych:
co powinien ciągnąć Pegaz:
czy dorożki, czy kombajny?

Ile serio, ile żartu,
kompromisu, koniunktury?
Ile moich strof przeżartych
rdzą ironii lub cenzury?

Wiem, choć marną jest pociechą,
że za późno, by coś zmieniać...
Chciałbym tych przemilczeń echo
ocalić od zapomnienia.

Leśniczówka Pranie 1953